

Jak to jest z naszą konkurencyjnością?

Skłonność do narzekania na otaczającą rzeczywistość jest naszą cechą narodową. Oczywiście nie inaczej jest w odniesieniu do gospodarki. Niby wszyscy widzą, jak gigantyczny postęp zrobiliśmy w ostatnich 30 latach, ale nie brakuje głosów, że tak właściwie nie ma się z czego cieszyć, bo i tak zarabiamy dużo mniej niż Niemcy, nie mamy silnych międzynarodowych marek, a wzrost zaraz się skończy, bo nie jesteśmy innowacyjni, za mało inwestujemy i w sumie nie bardzo mamy czym konkurować w globalnej gospodarce. Zwykle dodaje się też, że podstawowym wyznacznikiem siły polskiej gospodarki są niskie płace, co przecież trudno uznać za powód do zadowolenia. Oczywiście trudno odmówić tym opiniom racji, ale zauważmy, że są one powtarzane od co najmniej kilkunastu lat i wizje, że już za rok, dwa dynamika PKB nam znacząco spadnie jakoś nie zyskują potwierdzenia. Pytanie więc jak to jest z konkurencyjnością naszej gospodarki – mamy zdolność do szybkiego rozwoju, czy raczej czeka nas stagnacja? W naszej analizie będziemy posługiwać się danymi z lat 2004-19, czyli w okresie naszego członkostwa w UE. Roku 2020 nie bierzemy pod uwagę, bo nie ma jeszcze kompletu danych, a poza tym tzw. covidowa recesja w połączeniu z ogromną aktywnością państwa w gospodarce sprawia, że dane makroekonomiczne będą mało porównywalne z poprzednimi latami.

W definiowaniu konkurencyjności najbliższe jest mi tzw. funkcjonalne podejście Portera, według którego konkurencyjność to zdolność do szybkiego rozwoju. W ujęciu międzynarodowym konkurencyjny jest ten, który potrafi lokować produkcję na rynkach światowych. Obok tych podejść stricte makroekonomicznych warto też patrzeć na gospodarkę jako na miejsce, gdzie ludzie chcą żyć i pracować, co w warunkach wolnych przepływów siły roboczej jest szybko weryfikowane przez międzynarodowe przepływy pracowników.

Dopiero pandemia zahamowała polską gospodarkę, która od 1991 roku notuje nieprzerwany wzrost, co jest swoistym rekordem świata, bo mało jest przypadków na tak długi okres bez recesji. Postęp jest wyraźny – w 2004 roku polskie PKB pc. liczone z uwzględnieniem siły nabywczej to było 51,5% średniej UE, żeby wzrosnąć do 72,8% na koniec 2019. Oczywiście w pewnej mierze wynika to ze stagnacji w innych częściach gospodarki UE - np. w Grecji ten wskaźnik spadł w tym samym czasie z 98,2% do 66,5%, ale nie ma wątpliwości, że szybko gonimy Zachód.

W tym samym czasie nasz eksport wzrósł trzykrotnie. To nie wynika tylko z samego przyrostu naszej gospodarki. W coraz większym stopniu nasza produkcja jest lokowana na rynkach światowych – udział eksportu w PKB wynosił 34,2% w roku 2004, a na koniec 2019 było to już 55,5%, a od kilku lat notujemy nadwyżki w bilansie handlowym.

Mało kto zauważył, że Polska od 2016 roku notuje dodatnie saldo migracji i wciąż wielu z nas ma w głowach obraz masowej migracji Polaków po roku 2004. W latach 2018 i 2019 nasz kraj zasiliło netto ponad 20 tys. osób rocznie. Nie znalazły potwierdzenia prognozy, według których Ukraińcy mieli traktować Polskę jako chwilowy przystanek przed przeniesieniem się na Zachód Europy. Dziś wyraźnie widać, że coraz więcej osób postrzega nasz kraj jako atrakcyjne miejsce do pracy i życia, co świadczy że na globalnym rynku konkurencji o pracowników i talenty radzimy sobie całkiem nieźle. Takie wyniki wcale nie są powszechne w naszej części Europy – np. Litwa, Łotwa, Rumunia i Bułgaria od 2004 nieprzerwanie notują ujemne salda migracji, co zaczyna być tam coraz poważniejszym problemem.

Krytycy zwrócą jednak uwagę, że przecież PKB to tylko abstrakcyjny wskaźnik, który trudno przełożyć bezpośrednio na naszą jakość życia. Nikt przecież nie pyta swojego kolegi z Berlina, jakie jest u was PKB na mieszkańca, ale raczej interesuje nas ile można zarobić w Polsce, a ile w Niemczech. Tutaj faktycznie dystans jest spory – niemieckie PKB pc. to na koniec 2019 1,65 naszego, podczas gdy przeciętnie Niemiec na godzinę zarabia 2,3 razy tyle co Polak. Takie wyniki są pochodną tego, że rzeczywiście w Polsce płaci się mało w stosunku do naszej produktywności. Udział wynagrodzeń w polskim PKB to obecnie 39,6% wobec na przykład 53,5% w Niemczech i średniej w UE na poziomie 47,8%. Zanim malkontenci ogłoszą, że nasz sukces gospodarczy, liczony dynamiką PKB, jest wynikiem głodowych pensji, warto przytoczyć trochę więcej danych. Tak, płace w Polsce w porównaniu z tzw. Zachodem są stosunkowo niskie, ale dynamika jest znacząca – średnia płaca na godzinę z uwzględnieniem siły nabywczej wzrosła od 2004 prawie dwukrotnie, dokładnie 1,86 razy i w roku 2019 zarabialiśmy już więcej niż Grecy, jesteśmy bardzo blisko Portugalii i skracamy dystans do Niemiec, gdzie w 2004 płaca za godzinę była 3 razy wyższa niż w Polsce. Stosunek płac do wydajności pracy określa zaś naszą konkurencyjność. Świetnie to było widać w UE w czasie kryzysu. Po roku 2000 udział płac w PKB w Grecji, Hiszpanii, czy krajach bałtyckich się zwiększał, czyli wynagrodzenia rosły szybciej niż wydajność pracy. W tym samym czasie m.in. w Niemczech i w Polsce ten wskaźnik spadał, co faktycznie świadczyło o wycisku naszych pracowników, ale też oznaczało, że w czas kryzysu weszliśmy z mocno konkurencyjną gospodarką, co uchroniło nas przed głęboką recesją, jaka miała miejsce na południu Europy i

krajach bałtyckich. Przy okazji widać było jak bolesny jest proces przywracania konkurencyjności. W takim kraju jak Grecja, gdzie nie ma możliwości osłabienia waluty, jedyną opcją jest tzw. wewnętrzna dewaluacja oznaczająca obniżkę płac. Poziom płac w tym kraju wrócił do stanu z roku 2005 dopiero w roku 2019, wcześniej notując spadki wynagrodzeń będące następstwem głębokiej recesji i wysokiego bezrobocia.

Po roku 2015 udział wynagrodzeń w polskim PKB stopniowo rośnie, co jest efektem dobrej dynamiki gospodarczej, rekordowo niskiego bezrobocia i rządowej polityki gospodarczej, takiej jak podwyższanie płacy minimalnej i zwiększanie świadczeń społecznych, które podnoszą siłę przetargową pracowników na rynku pracy. Mimo tego, że pole do wzrostu wynagrodzeń w Polsce jest spore, bo udział płac w dochodzie narodowym jest zdecydowanie niższy niż w innych krajach, to trzeba uważnie śledzić relację wzrostu płac i wydajności pracy, bo przykład Południa Europy wskazuje, że ryzyko utraty konkurencyjności jest realne.

Nie można jednak zapominać, że z dwoma poważnymi wyzwaniami, jakimi był kryzys finansowy sprzed 10 lat i obecna pandemia poradziliśmy sobie dzięki swoistym sterydom, jakim dla gospodarki jest osłabienie kursu walutowego i wzrost deficytu budżetowego. Posiadanie własnej waluty, która może się osłabić oraz możliwość ograniczania skutków spowolnienia gospodarczego przez przyrost długu publicznego ma jednak swoje ograniczenia. Za wzrost deficytu w latach 2008-2010 zapłaciliśmy wzrostem stawek VAT i koniecznością transferu środków z OFE do ZUSu. Za obecnego słabego złotego, który wspomaga naszych eksporterów, płacą z kolei konsumenci, którzy poprzez wzrost cen dóbr importowanych notują podwyższoną inflację. Nie można więc wychodzić z założenia, że nie ma co się martwić konkurencyjnością, bo zawsze można osłabić złotego i zwiększyć deficyt budżetowy. Takie pole manewru praktycznie się wyczerpało, bo poziom długu publicznego jest już niebezpiecznie wysoki i koszty jego obsługi zaczną ważyć coraz więcej gdy stopy procentowe zaczną rosnać, co prędzej czy później nastąpi. Utrzymywanie słabej waluty też ma swoje ograniczenia chociażby przez wspomniany wyżej negatywny wpływ na inflację i siłę nabywczą naszych płac za granicą.

Nadchodzące lata to także konieczność transformacji energetycznej, co oznacza zmiany tzw. miks energetyczny, a to przełoży się siłą rzeczy na wyższe koszty funkcjonowania podmiotów gospodarczych w Polsce.

Podsumowując, nie ma wątpliwości, że sukces gospodarczy naszego kraju jest pochodną naszej konkurencyjności, która zapewniała zdolność do wzrostu na konkurencyjnym

globalnym rynku. Nie można mieć jednak złudzeń, że czekają nas kolejne lata kontynuacji wysokiej dynamiki gospodarczej bez zasadniczych korekt w naszym modelu rozwoju, który musi w coraz większym stopniu opierać się na wytwarzaniu dóbr i usług o wysokiej wartości dodanej, a to można uzyskać tylko na drodze innowacji, poprawianiu infrastruktury i przede wszystkim rozwoju kompetencji oraz umiejętności naszych przedsiębiorców i pracowników.

Prof. ALK dr hab. Jacek Tomkiewicz

Dziekan Kolegium Finansów i Ekonomii

Akademia Leona Koźmińskiego w Warszawie